MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY.

Rok V. Warszawa, 5 Września 1925 r. № 36.

TREŚĆ NUMERU: O mocarstwowe stanowisko. *Jan Zamorski.* — Bój o Boya. *Adolf Nowaczyński.* — Konsekwentnie... — Żydowski militaryzm. — Wielkie trzydziestolecie. *Klaudjusz Hrabyk.* — Front antymasoński. Tajne organizacje na półwyspie bałkańskim. III. Grecja, Rumunja, Bułgarja. *Asper.*



Cena numeru 25 groszy.

„Jeśli Prusy Wschodnie pozostaną w ręku niemieckiem, jako odosobniona posiadłość pruska, odcięta od głównego trzonu kraju wchodzącemi wpoprzek terytorjami polskiemi, będzie to źródłem nieustannem niekończącego się nigdy konfliktu między Polską i Niemcami, które będą starały się ustawicznie stworzyć sobie ogniwo łączne, kosztem Polski.

Jeśli Polska ma być narodem naprawdę wolnym, niezależnym od Niemiec, to możliwe są tylko dwa rozwiązania kwestji Prus Wschodnich: albo prowincja królewiecka, t. zn. ta część Prus Wschodnich, której ludność mówi po niemiecku, musi być połączona z Państwem Polskim na zasadzie autonomji, albo musi stać się małą niezależną republiką, związana z Polską unją celną.“

ROMAN DMOWSKI.

(Memorjał złożony prez. W. Wilsonowi dn. 8 października 1918 r. w Waszyngtonie.)

O MOCARSTWOWE STANOWISKO.

Jest to od pewnego czasu modny frazes, powtarzany dość bezmyślnie, a tak często, że nasi żalący się na wszystko obywatele gotowi wierzyć, iż Polska jest już tem mocarstwem. Wyobraźnia przeskakuje chętnie przydługie etapy żmudnej pracy i pieści sie spodziewanym dopiero skutkiem tak, jak gdyby już osiągniętym. Tymczasem Polska jeszcze mocarstwem nie jest, choć ma po temu warunki. Rozległość i bogactwo naturalne kraju, wystarczająca liczba ludności są temi warunkami, na których można oprzeć mocarstwo. Mocarstwo jednak nie wykwita samo, tylko ludzie je robią.

Ażeby zostać mocarstwem, trzeba zdobyć siłę i zmusić innych do liczenia się z tą siłą. My siły jeszcze nie mamy. Gospodarczo tkwimy w przesileniu, które im dłużej będzie się przeciągać, tem trudniejszem okaże się do przezwyciężenia. Powtarzamy wprawdzie oklepane aksjomaty o pożytku i dostojeństwie pracy, o potrzebie wytwórczości, o konieczności wywozu i o niezbędnej oszczędności. Ale tych haseł albo nie chcemy, albo nie umiemy wprowadzić w życie. Nasze ustawy, obyczaje i nałogi utrudniają pracę, hamują rozwój pracowitości a lewicowy arystokratyzm pogardza ludźmi, oddającymi się pracy fizycznej. Trzeba zatem zmienić ustawy, utrudniające pracę i wychowywać siebie i młodzież nie w sentymentalnem, kazalnicowem poszanowaniu pracy, ale w jej poznaniu i pełnieniu. Gdyby młodzieży szkolnej obok piłki nożnej i różnych sportów nakazano oddanie się przez godzinę dziennie jakiemuś rzemiosłu, a podczas feryj gdyby ją zaprzęgnięto do robót polnych, zrobionoby więcej, niż tysiąc wykładów i cała bibljoteka kazań o dostojeństwie pracy. Dziś chłopcu szkolnemu jedni każą szanować pracę, drudzy przedstawiają ją, jako klątwę Bożą, której można się wymknąć przez wykierowanie się na inteligenta. W obu wypadkach uczeń nabiera przekonania, że jemu nie przystoi wbijanie kołków w podeszwy, szycie ubrania czy bielizny, gaszenie wapna lub noszenie cegieł, rznięcie piłą i t. d., a cóż mówić o polewaniu i zamiataniu chodnika, żeby ojcu stróżowi dopomódz. To nie wypada, toby uchybiało gimnazjaście czy, broń Boże, akademikowi. I dopóki pewne potrzebne i uczciwe zajęcia będą uważane za uchybiające, dopóty nie będzie u nas poszanowania pracy. A więc przełamujmy głupie przesądy, jeżeli chcemy, żeby u nas praca zakwitnęła.

Mówimy o wytwórczości, a tak ustawowo kierujemy wszystkiem, że wytwórczość nasza nie może wytrzymać konkurencji. To nie jest zwiększanie wytwórczości, jeżeli mamy krocie pół albo i całkiem bezrobotnych i jeżeli wielu przedsiębiorców zamyka fabryki, a inni przenoszą je do Jugosławji. Jeżeli potrafimy wytwarzać dobrze i tanio, znajdziemy odbiorców. Sam fakt przenoszenia się naszych fabryk na Bałkan

dowodzi, iż tam na Bałkanie jest już dziś odbyt na towary, które my wyrabiamy, a które tam ma się dopiero zacząć wyrabiać. Ale brak kredytu, zabójcze ustawy przemysłowo-robotnicze, niepewność jutra nie sprzyjają rozwojowi zdrowego przemysłu, bo w tych warunkach ryzykować mogą tylko spekulanci o plantatorskiem usposobieniu, ale nie zdrowo tworzący budowniczowie przemysłowi.

Jesteśmy w wojnie celnej z Niemcami. Rząd i przemysłowcy powinni to położenie wyzyskać dla uniezależnienia, o ile się da, naszego państwa od ekonomicznej zależności od Niemiec, dla stworzenia tych gałęzi wytwórczości, których nam brakuje i dla udoskonalenia istniejących. Bałkan moglibyśmy częściowo zdobyć, a równocześnie przygotowywać się do zaopatrywania Rosji, której zapotrzebowania będą wzrastały. Jeżeli nas tam uprzedzą Niemcy, to nasz przemysł będzie musiał marnieć. A więc nie deklamować o potrzebie wytwórczości, lecz wyszukiwać rynki zbytu, wytwarzać i udoskonalać tak technikę, jak sposoby wywozu. Pod tym względem jesteśmy tak zacofani, że jeżeli nie podpatrzymy Niemców, żadne deklamacje nam nie pomogą. Uczyć się i pracować ma rząd i przemysłowcy, a nie wygłaszać kazania z czytanki pouczającej dla dorastającej młodzieży.

Pracowitość i oszczędność zrobi się sama, bez kazań, ale wtedy, kiedy się zacznie opłacać. Trzeba w ustawach, umiejętnych kredytach, obywatelskiem załatwianiu spraw przez władze, a przedewszystkiem przez stworzenie pewności prawnej i gospodarczej stworzyć takie warunki, żeby się opłaciło być pracowitym i żeby się było pewnym posiadania zaoszczędzonych nadwyżek. Dziś, gdy się ludzi straszy ewentualnym spadkiem kursu złotego, gdy są ludzie, którzy sobie tego spadku życzą, gdy rząd daje niewystarczające wyjaśnienia sytuacji gospodarczej i przez to podsyca nieufność, trudno myśleć o oszczędności. Boć tłumaczenie, że u nas bilonu wypada mniej na głowę, niż zagranicą, jest wyjaśnieniem niewystarczającem. Trzeba obok tcgo zestawić, ile pieniądza fundowanego i ile oszczędzonego kapitału wypada na głowę zagranicą, a wtedy dopiero okaże się, czy u nas bilonu jest dosyć, czy za wiele. Trudno zaś żądać, żeby człowiek odejmował sobie czasem od ust i składał oszczędności, skoro nie jest pewnym, czy oszczędzony z takim trudem kapitalik nie zmaleje.

Rząd mógł sam zacząć oszczędzanie, skoro znalazł pozabudżetowe fundusze na reumuneracje dla niektórych protegowanych urzędników. Należało te pieniądze umieścić w banku, jako zaczątek oszczędności, jako zapas kasowy, a choćby to z początku była suma niezbyt wysoka, jej moralne oddziaływanie na ludność byłoby niezwykle wielkie. Taki czyn, a nie optymistyczne kazanie, byłby ludzi napełnił otuchą, że stoimy z pieniądzem dobrze i pewnie, byłby zachęcił do

składania oszędności. Szkoda, że tak się nie stało. Można zresztą to zaniedbanie odrobić przy sposobności drugiej wypłaty reumuneracji, której już być nie powinno, jeżeli się nie ma demoralizować stanu urzędniczego. Zapraszamy rząd, żeby nam dał przykład oszczędności, a pójdziemy za tym wzorem niechybnie.

Można więc podnieść siły gospodarcze ludności i państwa aż do poziomu mocarstwowego: powoli, ale wytrwale. Bez potęgi gospodarczej nie będziemy mocarstwem, choćbyśmy wszystkie poselstwa pozmieniali na ambasady.

To jednak nie jest wszystkiem. Musimy mieć stosowną siłę wojskową. Ostatnie manewry wykazały, że żołnierza mamy świetnego i naogół dobrze przygotowanego. O oficerach już tego tak bez zastrzeżeń powiedzieć nie można. Nasze legjonowe wychowanie nie przygotowało jeszcze ludzi do operowania jednostkami, większemi niż bataljon. Namnożono sztabowców, pułkowników, jenerałów, ale ci musieliby jeszcze bardzo wiele się uczyć, ażeby nie stracić kontenansu przy operowaniu armjami. Możeby nieźle było posłać najpracowitszych do Marokka, żeby się przypatrzyli wojnie na szerszą skalę, niż Kmicicówka.

Ale to wojsko nasze nie jest zapatrzone w samoloty, gazy, w materjał wojenny — marynarki zaś, prócz lądowej, nie mamy. Ażeby w organizacji wojska dojść do mocarstwowej potęgi, musimy jeszcze wiele pieniędzy wydać i ogromnie wyższych oficerów uczyć.

Ponadto trzeba prowadzić mocarstwową politykę wewnętrzną i zagraniczną. Wewnątrz usprawnić administrację, ażeby na wypadek zawikłań nie zawiodła. A ona w czasie pokoju nie spełnia jeszcze swojego zadania i niejednokrotnie jest zaprzeczeniem administracji. Przez administrację zespolić Kresy z państwem, usprawnić obywateli, którzy na wypadek wojny powinni mieć pełne zaufanie do władz, a niestety nie mają go wiele podczas pokoju.

Tylko państwo, zdolne do należytego poprowadzenia wojny, może uzyskać rangę mocarstwa. Ta zdolność do zwycięskiej wojny jest najlepszą gwarancją pokoju. Kto się przyznaje, że jest tak słaby i nieprzygotowany, iż musi wojny unikać za wszelką cenę, ten prowokuje sąsiadów, żeby go najechali wojną.

Dopiero, kiedy Europa przekona się, że jesteśmy gotowi do prowadzenia zwycięskiej wojny, uzna nas za mocarstwo. I wtedy polityka zagraniczna, bez pobrzękiwania szabelką, potrafi osiągać dla Polski te korzyści, do jakich mamy prawo.

Ale trzeba też i w polityce zagranicznej mieć plan i siły do osiągnięcia tego planu. Plan zaś powinien mieć różne etapy, zależnie od możliwości, aby się do celu przybliżać. Celem zaś naszym nie może być nic innego, jak usadowienie się należyte nad morzem. Niemcy postawili kwestję Prus

Wschodnich. My ją musimy podjąć pod grozą samobójstwa. Sprawa tak dziś stoi: albo Polska zlikwiduje Prusy Wschodnie, albo one zlikwidują Polskę. Innego wyjścia niema. Naturalnie, że głównym celem naszym musi być zlikwidowanie Prus Wschodnich, aby własny byt uratować. Droga do tego celu jest trudna i zapewne długa. Prowadzi przez uzależnienie Gdańska, przez podtrzymanie ruchu wyzwoleńczego w Warmji i na Mazurach, przez wciągnięcie Litwy z Kłajpedą w orbitę polskich interesów. Cel ostateczny: autonomia Królewca pod polską zwierzchnością i wcielenie integralne Gdańska, Warmji i Mazurów. Obok tego celu nie należy zapominać i o powiecie bytowskim i lęborskim na Pomorzu i o reszcie Śląska Górnego.

Ta polityka mocarstwowa musi mieć zrozumienie i poparcie w społeczeństwie. Rząd nie może robić wielu rzeczy i społeczeństwo musi go wyręczać. Podtrzymywanie i budzenie irredenty w Prusiech Wschodnich jest rzeczą społeczeństwa.

A teraz należy zapytać, czy wiele w tym kierunku zdziałaliśmy, lub bodaj zamierzamy zdziałać? Odpowiedź wypadnie bardzo ujemnie. Wycofujemy się z Gdańska i patrzymy, rychło li nam zechcą zabrać i Górny Śląsk i Pomorze. Na Kresach tylko Tow. Opieki robi coś niecoś w miarę szczupłych środków i jeszcze szczuplejszych sił pracowniczych. O Prusiech Wschodnich nic nie wiemy — mniej z pewnością niż o Indjach lub Kalifornji. Litwini wywłaszczyli Polaków, a teraz zamykają polskie szkoły wbrew traktatowi o mniejszościach. Dlaczego nie grzmią gazety? Dlaczego nie oburza się ludność? Dlaczego rząd nie zasypuje państw zachodnich i Ligi Narodów skargami na litewskie łamanie traktatów? Dlaczego nie płyną składki na polskie szkoły na Litwie?

Ta obojętność na sprawy tak blizkie świadczy, że u nas jeszcze nie wyrobiła się psychologja już nie mocarstwowa, ale psychologja państwa wolnego. I trzeba to przełamać w sobie, przerobić, przeobrazić siebie. Inaczej ględzenie o mocarstwowem stanowisku obudzi tylko śmiech i politowanie. Chcąc być mocarstwem, pracujmy planowo nad wzmocnieniem wszystkich naszych sił i nad wytworzeniem u obywateli, w Sejmie i w rządzie psychiki mocarstwowej.

Jan Zamorski.

BÓJ O BOYA.

Z redakcji „Kurjera Porannego“ i „Przeglądu Wieczornego“ wystąpili ostatnio pp. W. M. Żeleński i Witołd Noskowski. Pierwszy z nich po dość burzliwem zajściu z wydawcą p. Louisem Fryzem, po którem to zajściu zwiędły Louis musiał poddać się dłuższym zabiegom nadwornego dentysty i forsownemu masażowi dolnej znów nadwerężonej

szczęki. Drugi, p. Witołd Łada Noskowski, występujący bez rękoczynnego adieux, przeniósł się do Poznania i wstąpił do redakcji „Kurjera Poznańskiego“. Tu trzeba zacytować biblijne: „zaiste więcej radości w niebiesiech z powrotu jednego grzesznika, aniżeli 99 chronicznie sprawiedliwych“.

Dwa lata temu pod adresem p. p. Noskowskiego i Żeleńskiego pisało się tutaj najpierw strzeliste i serdeczne ostrzeżenia, a potem, gdy to nie pomagało, twarde i niesympatyczne inwektywy, wróżąc atoli obojgu, że wcześniej czy później z „Kuryi Porannej“ wyjdą, żałując poniewczasie, że tak przydługo w kanalizacji takiej pracowali. Młody Żeleński, reagował na to buńczucznie i zadzierzyście ale, właściwie sympatycznie; jesteśmy pewni, że z czasem wyrobi się na serjo publicystę, choćby nawet socjalistycznego czy radykalnego, ale już nie prostytującego się na „Kaftala Porannego“ zaplamionych kanapach. Pan Noskowski miał intencję reagować aż procesem sądowym, ale przeproszony za inne niesłuszne zarzuty (na błędnych informacjach polegające), uspokoił się; aliści na dnie sumienia coś tam gryzło, niepokoiło, szemrało, aż wreszcie, jako ten Orestes ścigany przez Eumenidy, wypadł nocą burzliwą z „obozu tajnych celów“ (i szantażów giełdowych) biegł, biegł daleko polami i lasami, póki wreszcie znużony nie padł u bram najsamszej „luendeckiej“ twierdzy, gdzie też „marnotrawnego syna“ z chrześcijańską charitas przygarnięto. Obóz narodowej publicystyki dostaje znów w swe szeregi pisarza subtelnego i wykształconego, dowcipnego i giętkiego, który się czas jakiś „antynarodowo bałamucił“ i potykał, ale tempore belli bądźcobądź stał mocno przy tym sztandarze ententowym, który Polsce niepodległość i państwowość wywalczył. Nie traciło się nigdy nadziei, że p. W. Noskowski wcześniej czy później fetorem Fryzego zacznie się krztusić. Obecnie można mieć pewność, że już pod narodową wytrwa banderą, oby choć sto lat z przysypką, nie probując chyba nigdy samo serce wielkopolskie narodowo-demokratycznej ideologji infekować toksyną krakauerskiej „mentalita lodomerica.“

Z „Kurjera Porannego“ w ostatnich dwóch latach występowali kolejno w ogonku lub gremialnie wszyscy. W tym wyszynku dziennikarskiego fuzlu i metylu nikt szanujący się dłużej wytrzymać nie jest w możności. Od czasu do czasu ktoś z nazwiskiem wdepnie, znęcony fryzejską mammoną, ale po jakimś czasie każdy dławiąc się wyziewami z „Canale Grande“ ucieka, jak biblijny kriwoszejowski Józef z objęć Putyfarowej. Często rozstanie się współpracownika finiszuje się paszczobiciem opasłego pryncypały. Zeszłego roku wyszli ławą drzwi zatrzaskując za sobą pp. dr. Wł. Włoch, dr. Brzeg, p. A. Nowicki, Wacław Grubiński, J. Kleczyński, C. Jellenta, J. Rozencwejg, J. Esymont i inni dii minorum gentium i potentium. Każdy z nich krócej czy

dłużej dreptał na nartach czy szczudłach po błocie i szlamie Fryzejskim, starając się par force contre coeur oswoić z atmosferą nocnej knajpy i szulerni i dostroić do kompanji zasiedziałych już desperatów, gełdowych rekinów, „specjalistów od defloracji" i Ehrenbergów; każdy atoli po jakimś czasie brał ostatnią pensję, wypowiadał don Louisowi kilka refrenów do słuchu, strzepywał mu pył ze sandałów na łepetę i uciekał do rzymskiej łaźni, żeby w parówce zmyć ze siebie brud i kurz redakcyjny I nie można się dziwić tym wszystkim. Grube pensje—płacone z niewyraźnych fuuduszów (pecunia quae olet)) to jeszcze nie wszystko. Poczucie dręczące, że się współpracuje w przedsiębiorstwie, które latami całemi ocierało się o kryminał, a soki żywotne czerpało ze wszystkich rynsztoków stolicy, przymus kolegowania i symbiozy z notorycznymi szpiegami[1] [2]) poczucie dręczące, że Krezusowe bogactwa naczelnego wydawcy pochodzą z operacyj, szwindlów i szacherstw giełdowych[3]), dręczące poczucie wysługiwania się bezwstydliwemu organowi opinji publicznej, którego same podstawy i geneza oparte są na oszustwach i kradzieży[4]), poczucie pańszczyzny i najmictwa w jedynym w Polsce dzienniku, który na te wszystkie rewelacje (od lat trzydziestu kolejno pojawiające się) ani razu nie zareagował sądownie i ani jednego procesu o oszczerstwo wytoczyć się nie ważył, dręczące poczucie hańby i degryngolady jednakże nie pozwoliło ani jednemu dziennikarzowi polskiemu popasać na podwórzu tego szaletu publicznego dłużej, nad rok czy dwa lata. Ani po oskarżeniach „Robotnika" z r. 1919 ani po zarzutach o „świadome fałszowania ceduły giełdowej" p. Szwalbego w r. 1923 „Kurjer Poranny" L. Fryzego skargi do prokuratora nie wniósł.

I słusznie chyba już w r. 1915 pisał organ Piłsudczyków radykalne „Widnokręgi" (nr. 3 styczeń „Błazenada"):

„Dopóki Kurjer Poranny nie stoczy batalji ze swą przeszłością, wszystkie walki jego teraźniejsze i przyszłe toczyć się będą w próżni. Może on tego lub owego błotem obryz-

---

[1]) Rewelacje „Robotnika" z 6 i 7 Grudnia r. 1919.

[2]) W książce pana de la Mazière o Polsce zajdował się ustęp, przemilczany w Poranniaku, który podajemy tu w tłumaczeniu:

„Czy myśiicie, że przesadziłem, mówiąc o polskiem niedbalstwie? — Ale są rzeczy lepsze! Czy wiecie że gdy postanowiono posłać do Paryża ludzi dla robienia propagandy z powodu podróży Marszałka Piłsudskiego, wybrano pewnego dawnego agenta austrjackiego ze Szwajcarji z czasów wojny i ojca indywiduum, które przedostało się do nas dla szpiegowania na rzecz Niemiec i które jedynie dzięki wysokim wpływom nie zostało rozstrzelane w Vincennes. Wiemy o tem. Nie pisaliśmy o tem, ani nic mówili, choć było to naszem całkowitem prawem. Ale co myślicie o rzadzie tak lekkomyślnym i w podobny sposób dobierającym ludzi do misji tak delikatnych".

[3]) rewelacje „Naszego Przeglądu" z 4, 5-tego i 13 Września r. 1923.

[4]) rewelacje p. J. Czempińskiego w „Kurjerze Warszawskim" i Leopolda Blumenthala w „Wolnem Słowie".

gać, ale nikogo nie zrani, jak pudel, który sierć ma unurzaną w rzeczach nieczystych i napastuje chlapaniem, niemniej zresztą chlapiąc, gdy się łasi. Rozumiemy, że p. Ehrenberg musi uczepić się jakiejś uznanej "wielkości", żeby jej blask udzielił się i jego mizernej osobie. W ten sposób łatwiej może prowadzić swoje dziennikarskie interesy". I równie słusznie w innym artykule tych samych Widnokręgów" pisał Rzymowski: „Kurjer Poranny nabiera tchu wówczas, gdy może po mistrzowsku przyrządzić opis defloracji, wywąchać trupa w koszu, podpatrzeć szulernię, zrewidować dom schadzek, przetrząsnąć kulisy klasztoru, zainscenizować nową odmianę kazirodztwa, lub rzecz zagaić kwiecistym tytułem: „Niemcy używają zamiast oręża smrodu", albo „Wilhelm się wścieka z obu stron", albo „Włochy drapią się po Anglji", albo (o Francji) „Marjanna krwawi".

W takim tedy organie „opinji publicznej" ci co współpracować i czasowo musieli, zawsze jednak zatrzymywali się krótko, jakby dla „małej potrzeby", poczem załatwiwszy się i zapiąwszy wychodzili na Marszałkowską ulicę zawstydzeni i zażenowani.

Ostawał tylko zawsze na placu i trwał na posterunku przy dwóch zerach wydawcach jedyny pan Ehrenberg. Ten byk fryzejski z odorem „obory tajnych celów" już się otrzaskał i oswoił, jako że on tego odoru głównym i generalnym był producentem.

Tracić czas i psuć kredki na jeszcze jeden pastel tego luesdeka czy luesdekandenta niema dziś najmniejszego celu. „The biggest scoundrel of Warsaw", tak go scharakteryzował jeden dziennikarz albioński, który także się kiedyś w fosforescencji politycznego cynizmu tego Chilona Chilonidesa zakochał, ale się szybko odkochał, *The biggest scoundral of Warsaw.*

Jak bywają szmuglerzy i przemytnicy zakochani w swym procederze, jak bywają kokoty szczytnie pojmujące swoje posłannictwo, jak zdarzają się saloonkiperzy bumsiarze, krupierzy, którzy ostatni w nocy idą spać, a pierwsi rano wstają, tak też i Rabagas Ehrenberg może imponować swą pracowitością, systematycznością, zajadłością i zapamiętałością w tem, co „Widnokręgi" Piłsudskiego określiły jeszcze w styczniu r. 1915, że „jak pudel, który sierść ma unurzaną w rzeczach nieczystych i nąpastuje chlapaniem, niemniej zresztą chlapiąc, gdy się łasi". Chlapał, gdy się łasił aktorkom, jako wieloletni recenzent. Chlapał, gdy się łasił Moskalom Engałyczewowi i Małyszewowi. Chlapał, gdy się łasił Świętochowskiemu. I dziś chlapie, gdy napastuje wszystkich kolejno, co Polskę organizują i chlapie, gdy się łasi Koryolanowi ze Sulejówka. *The biggest scoundral of Warsaw.* Chlapał, gdy się łasił Anglji Lloyd George'a „na złość Pichonowi" i chlapał bez opamiętania, gdy napastował Czechów i Litwinów. Chlapał, gdy się łasił Watykanowi i chlapał, gdy

zachrypły i zapieniony ujadał na faszystoski Rzym Mussoliniego. Zaczął ongiś swą błyszczącą karjerę od funduszów, zbieranych przez krakowskie pismo na klasztor Jasnogórski, a kończy ją na okradzeniu Piłsudskiego z jego aureoli legendarnej i na ściągnięciu go z wyżyny mistycznego Don Kiszota na poziom knajpy, w której Falstaf zagłobi i bredzi. *The biggest scoundrel of Warsaw.*

Przy takim szefie i leaderze politycznym, dłużej współpracować nie są tedy w stanie nawet dziennikarze o mocnych nerwach i opportunistycznem zaparciu się siebie. To też po krótkich udrękach i kompromis-tacjach jedni po drugich wybiegają z „obory tajnych celów“ i jawnych szelmostw. Gdyby wybiegnąwszy już raz zatrzymali się w jakiemkolwiek piśmie, w „Robotniku“ czy w „Naprzodzie“, nawet w jakiejś nieistniejącej polskiej „L'Humanite“ czy „Rothe Fahne“, to w każdym razie moglibyśmy im wtedy gratulować, bowiem nawet w komunistycznej gazetce broniliby jakiegoś światopoglądu a zwalczali inny... W gazetach Fryzego bronią tylko brudnych geszeftów i szwindli swego patrona i gyneceum wyranżerowanych baletnic. W każdym więc współpracowniku z „Kurjera Porannego“ i „Wieczornej Rogówki“ wcześniej czy później świadomość tego poniżającego wynajmu rozbudzić się musi.

Z tej racji więc po pp. Włochu, Brzegu, Grubińskim, Kleczyńskim, Rosenzweigu i t. p. wystąpić też musieli ostatnio W. M. Żeleński i Witold Noskowski.

Boy jeszcze tkwi.

I rzuca często perły między wieprze. I do ciemnej czerni mówi o białej pani Hańskiej. I czytelnikom, którzy wyją z tęsknoty za nowym Macochem wykłada o „starym“ boskim Stendhalu. I tłomaczy Merimeego dla publiki z „Baru Expressowego“....

To też jako ten Dorian Gray z powieści Os. Wilda, nasz Gargantua Żeleński od dwóch lat już nigdy nie przypatrzył się sobie samemu w zwierciadle. Haszyszuje się pracą. I coraz rzadziej się uśmiecha. I rym jego już zaniemówił.

Wydawcy! polscy wydławcy! Któryż to z Was zdecyduje się ratować Boya i wykupić go wreszcie z ziemi egipskiej, z domu niewolnic, z męskiego haremu paszy Fryzego, gdzie obrzezaniec Ehrenberg świszcze batem swej wielkości i genialności nad pochylonymi karkami chudych, szarych, sterroryzowanych galerników z nożycami przykutemi do odnóży przednich??

Adolf Nowaczyński.

KONSEKWENTNIE...

Pismo węgierskie „Magyarszag“ donosi, iż departament sowiecki oświaty postanowił zmienić nazwę tworzonego przy uniwersytecie robotniczym w Moskwie oddziału „petrografji“ na... „leningrafję“.

Jeśli zamiast „Petrograd“ jest „Leningrad“, to i nauka petrografji musi dostosować swą nazwę do nowych okoliczności.

ŻYDOWSKI MILITARYZM.

Syjonizm dąży do ziszczenia swoich ideałów dziwną dość drogą. Poważna i przeważna większość syjonistów myśli o odzyskaniu ojczyzny... za pieniądze. Poprostu o wykupieniu terytorjum palestyńskiego z rąk Arabów Nawet nadzieje na „obudzenie się poczucia sprawiedliwości u Ligi Narodów“ nie są uważane za tak realne, jak ta niezwykła metoda odzyskania ojczyzny drogą pieniężnej tranzakcji.

Oryginalną i odosobnioną zarazem na tem tle jest postać żydowskiego... militarysty, Włodzimierza Żabotyńskiego, niegdyś odeskiego, dziś angielskiego Żyda. Żabotyński wierzy w żydowski bagnet i nim chciałby załatwić palestyńskie sprawy sporne z Arabami, a kto wie, czy także nie z Anglją. Jego militaryzm postawił go w zupełnem odosobnieniu w syjonistycznym świecie. Jego grupa liczyła do niedawna jedynego reprezentanta, t. j. jego samego. Niemniej popularność jego u syjonistów jest olbrzymia i kto wie czy nie taktyczno-polityczne tylko względy trzymają polityków zdala od niego. W każdym razie wśród młodzieży żydowskiej ma mir nadzwyczajny.

Jeżeli idzie o dojrzałą politykę poważnych syjonistów, to nic dziwnego, że nie może ona pogodzić się z Żabotyńskim, kiedy sama wyraża się w takich enuncjacjach, jak berlińskiego „Jüdische Rundschau“, oficjalnego organu niemieckich syjonistów:

„Nie chcemy państwa żydowskiego, tylko dwunarodowej gminy palastyńskiej. W ramach takiej gminy widzimy możność osiągnięcia tego, czego brak nam Żydom: pełnej prawnej podstawy do budowy własnego socjalno-ekonomicznego, normalnie ukształtowanego, realnego życia narodowego. Taki cel został sformułowany przez „białą księgę“ z r. 1922., znaną pod nazwą księgi Churchilla“.

Żabotyński nie chce „dwunarodowej gminy“, ani „biała księga“ mu nie wystarcza; chciałby „białobłękitnej“. A że w tem wszystkiem jedno jest poważną przeszkodą — Arabowie, więc marzy o żydowskiej armji. Jej realizacji próbował już w czasie wojny europejskiej, kiedy przy wojskach angielskich, walczących w Palestynie sformował żydowski legjon. Co do przyszłości — swoje „credo“ wypowiedział na ostatnim kongresie syjonistyczym w Wiedniu, słuchany zresztą z niesłychanym entuzjazmem nawet przez rzekomych zwolenników „binacjonalnej gminy“:

„...My sami osłabiliśmy naszą pozycję przez to, że oświadczyliśmy przed całym światem przez usta naszych reprezentantów, że wszystko jest już dobrze i pięknie. „Pokój! pokoj! pokój!

........Kiedy żyje się w kraju, gdzie kwitnie nieustannie szczucie i agitacja, nikomu nie wpadnie do głowy, zatroszczyć się o bezpieczeństwo i spokój.

.....Żądamy od państwa, wykonywującego mandat, Anglji, odpowiedzialności za spokój i bezpieczeństwo w Palestynie. Ale to już nasz obowiązek dostarczyć do tego celu ludzi i środków“.

WIELKIE TRZYDZIESTOLECIE.

Gryzoniom Polski nie podoba się nigdy, jeśli wymówić słowo: Tradycja. Chcieliby, aby w Polsce zaczynać wszystko „ab ovo“, aby nic związane nie zostało z przeszłością, a jeśliby już zostało nawet, to łańcuchem stanowiska negatywnego. To co było dawniej—dziś istnieć nie może. Tradycji w Polsce niema.

Jeśli ktokolwiek powoła się już nie na pracę i dorobek kilku wieków, bo taki okres wprawia podjadaczy Polski w prawdziwy szał antytradycyjny — ale jeśli wskaże, że zaczął myśleć nie dziś dopiero, ale lat temu pięćdziesiąt, czterdzieści, trzydzieści, że ma za sobą jedno bodaj pokolenie—we wszystkich lajborganach i organkach z ulicznych zaułków Warszawy, Krakowa, Lwowa—podnosi się wrzawa ironji i domorosłych dowcipów żydowskich; tradycja — jubileusze—endecka megalomanja—!. To co pływało w mętach myśli polskiej—śmie dziś głos podnosić wobec wielkich, nawet wiekopomnych rzeczy.

Taką datą, ważną w naszych dziejach, jest trzydziestolecie „Przeglądu Wszechpolskiego“, o którem tu i owdzie niecoś powiedziano, ale które znaczna większość prasy, nietylko czerwonej, ale także zielonej, ba nawet czarnej i fioletowej—wedle zwyczaju, gdy o zasługi przeciwników chodzi, całkowitem pominęła milczeniem.

Milczano tak właśnie przed laty trzydziestu. W najgłębszych podziemiach Polski budził się ruch nowy, odmienny niż wszystkie dawne konspiracje „narodowe“ i „międzynarodowe“. Przedewszystkiem wszystko, co się działo i co zapowiadało się na wielki gmach wielkiej idei — rosło w kraju. Kontakt z wszelkiemi konspiracjami zagranicznej maści został zerwany. Dmowski przeorganizował Ligę Polską na terenie zaboru rosyjskiego, nadał jej piętno wybitnie krajowe, miejscowe, a także ideowe, bo „narodowe“ i potem z tego wyrósł „Przegląd Wszechpolski“.

Żywot swój zaczął on skromnie. We Lwowie!... Może przypadkiem—może już wyrokiem dziejów i odwiecznego nakazu historji, że jeśli w Polsce kiedykolwiek ciemno, to iskry pożaru nowych myśli i śmiałych zamierzeń lecą ku nam przedewszystkiem od Lwowa. Kilka lat kuły się tam pierwsze podstawy polskiego nacjonalizmu, ale co ważniejsza, odradzała się tam tradycja państwowej polityki Polski.

Ci, którzy formułowali zasady nacjonalizmu i odradzali politykę polską, nie czynili tego na ślepo. Oparli się na dwu prawdach podstawowych, któremi były wiara w moralną siłę i potęgę narodowego „ja“, które się zgnieść nie pozwoli i musi wydrzeć się z pod ucisku, oraz świadomość, że rozbiór Polski, że jej brak na politycznej karcie Europy—to za-

rzewie wiecznego nieugaszonego konfliktu, którego epilogiem musi być — odbudowa państwa polskiego.

Przeżarte doktryną „demokratyzmu“ i Praw Człowieka, wyczerpane szarpaniem powstańczym, znękane uciskiem, zarażone socjalizmem społeczeństwo w one lata czekało na znak!... W takich latach fizycznego wyczerpania społecznego, wielcy ludzie rodzą się, jako wyraz wewnętrznego zdrowia narodowego organizmu. Mieliśmy też wielkich ludzi w tym okresie. Był Wyspiański, był Kasprowicz, był Sienkiewicz, był Popławski i był — Dmowski.

Wszyscy oni należą do wieku dwudziestego, ale wyszli z dziewiętnastego stulecia jakby na znak, że próba kilkudziesięciu lat nie przyniosła triumfu ani poezji romantycznej, ani polityce romantycznej — w ogniu codziennego życia. W okresie jednego zaledwie wieku, po wzlotach „mesjanicznych“ przyjść musiało rozprawienie się z niemi przez Wyspiańskiego, a jednocześnie dzieła Sienkiewicza, Kasprowicza, Reymonta, po polityce powstań — przyjść musiały „Myśli nowoczesnego Polaka“. W powietrzu było duszno — t. zw. „demokratyzm“ wpędził naród na manowce walki wewnętrznej, nie prowadzącej do celu, pełnej hałaśliwej frazeologji, mętnych programów, niewyraźnych haseł.

Tych pięciu, którzy wysunęli się na czoło z końcem wieku 19-go, stanowiło awangardę Polski, a było przy nich wielu pomniejszych, równie zdrowych moralnie, niosących żwawo i z rozmachem pełnego życia — pochodnie skrystalizowanej idei polskiej. Natchnęła ich siła genjuszów, bo to co stworzyli w ciągu lat kilkunastu, stało się zbawiennem nasieniem państwowej Polski. Prorokami romantycznymi nie byli, a jednak oni, a nie romantyzm rozwalili bramę, która zamykała drogę do bytu niezależnego.

Organem odrodzenia polskiej myśli politycznej stał się „Przegląd Wszechpolski“. Nie przepuścił on ani jednego ważniejszego objawu naszego życia, wciągając go w rejestr organizacji życia polskiego. „Przegląd Wszechpolski“ organizował bowiem to życie. Wiek 19 był wiekiem największej jednostronności pod tym względem. Okazało się, że jeśli z organizacją ducha nie idzie w parze organizacja sił materjalnych, fizycznych—to dzieło staje się tworem jednostronnym i niezupełnym. Romantyzm zorganizował ducha Polski — to prawda, bo wzbudził w nim potężny ogień patrjotyzmu; czuliśmy się wówczas Polakami, jak może nigdy przedtem — ale nikt jeszcze nie wiedział — jak być Polakiem?

I to właśnie pytanie rozwiązał „Przegląd“ w swej działalności. Ducha zespolono w organizację materjalną, co mu wytknęło jego realne cele, dano mu podstawy narodowej polityki „Przegląd Wszechpolski“ zakreślił granice Polski, do

których myśl polska powinna się w swojem maximum dążeń kierować. Było to jedno z najważniejszych zadań, jakie „Przegląd“ spełnił. A wśród tego najważniejszego — jedno wysunęło się na samo czoło, a mianowicie problem Bałtyku.

W świadomości społeczeństwa i w prawdzie historji ustala się już ten fakt, że „Przegląd Wszechpolski“ i idea Bałtyku w polityce nowoczesnej Polski—to dwa nierozerwalne pojęcia. Wartoby zestawić skrupulatnie stanowisko „Przeglądu“ z głosami całej plejady lilipucich mózgów austrjackich z „Czasu“, „Przeglądu Polskiego“ et tutti quanti — aby zamknąć raz wreszcie usta tym, którzy starają się pomniejszyć rolę obozu narodowego z „Przeglądem“ na czele w czasach najzacieklejszej walki z Bismarkiem, gubernatorami warszawskimi i — lojalnością prasy Krakauerskiej.

„Przegląd Wszechpolski“ wsączał ideę Bałtyku w mózg narodowej, zaskorupiałej masy; z ideą Bałtyku łączył się problem walki z Niemcami. Popławski i Dmowski w „Przeglądzie“, Sienkiewicz w „Krzyżakach“ i w listach otwartych do pruskich katów, Reymont w „Chłopach“, Wyspianski w „Weselu“ — rzucali raz po raz podwaliny pod nowy gmach. Musiały to być granitowo silne fundamenty, skoro nic się z nich zgoła nie rozsypało, a podjadacze i gryzonie Polski odosobnieni zostali w redakcjach krakowskich. Duch romantyzmu dopomógł do zorganizowania społeczeństwa w szeregach „Sokoła“, „Kółek Rolniczych“, „Towarzystwa Szkoły Ludowej“; ugruntował się wpływ silnej prasy narodowej, która zdobyła sobie decydujący głos w opinji publicznej, poszedł po kraju zew, aby uświadomić chłopa: całe szeregi tajnych, nieznanych nieznanych nikomu pracowników przenosiły „Polaka“ poza kordon i rozrzucały go między chaty. Teorjom szkoły historycznej z Krakowa przeciwstawiono własną, narodową, optymistyczną szkołę, naturalnie lwowską; wysunęli się na czoło nowi przewódcy, zorganizowano pamiętne obchody Grunwaldu, uczyniono symbolem walki polskiej — historyczny wóz Drzymały z Poznańskiego.

Organizacja szła. A wszystko źródło swe miało w małych, ciasnych pokoikach redakcyj lwowskiej i krakowskiej „Przęglądu Wszechpolskiego“. Tam Polskę budowano.

Dlatego tegoroczne trzydziestolecie — to wielka rzecz. Nie trzeba robić z niego hałaśliwego święta z lampionami i mówką pod pomnikiem. Jubileusz „Przeglądu“ to pokrzepienie serc, że praca wydała plon, że z niej wyrosła Polska. A płynie stąd i pewność, że ramion nie trzeba opuszczać, że muskuły trzeba bezustannie prężyć! Aby wydołać biegowi historji i aby stworzyć z niepodległej Polski — wielkie mocarstwo, zdolne zwycięsko oprzeć się wrogom zewnętrznym i wewnętrznym.

Klaudjusz Hrabyk.

FRONT ANTYMASOŃSKI.

TAJNE ORGANIZACJE NA PÓŁWYSPIE BAŁKAŃSKIM.

III. Grecja, Rumunja, Bułgarja.

Podobnie jak w Serbji, wolnomularstwo greckie i związane z niem tajne organizacje miały na celu dobro Grecji, najpierw utworzenie samodzielnego państwa, następnie wzmocnienie go i powiększenie kosztem zwalczanych przez masonerję wszechświatową sąsiadów, jak np. Turcja, lub Bułgarja. Innemi słowy, wolnomularze greccy, podobnie jak serbscy i rumuńscy, wykorzystali panujące wśród wszechświatowej masonerji tendencje dla swoich szczytnych, narodowych celów, aczkolwiek postępowanie ich często nosiło charakter masońskich intryg i czysto masońskiego pozornie nieobliczalnego postępowania.

O początkach masonerji w Grecji nie wiele można powiedzieć ponadto, że z początkiem XIX wieku istniała loża w Patmos, pracująca nad zrzuceniem tureckiego jarzma, której mistrza Xanthosa znajdujemy w r. 1814 w Odesie, gdzie wraz z Grekiem Skupasem i Bułgarem Cakałowem założył Heterję Filików, t. j. Związek Przyjaciół, stowarzyszenie tajne celem zrewolucjonizowania Grecji. Formy związkowe, prawie zupełnie wolnomularskie, opracowane zostały przez Skufasa, istotnego przywódcę związku, liczącego wkrótce pokaźną liczbę członków.

Powstanie Heterji przypadło w okresie masońskich projektów cesarza Aleksandra I, w chwili, gdy ministrem spraw zagranicznych był Capo d'Istra, Grek korfiata, rozwijający akcję spiskową na korzyść Rosji we wszystkich krajach bałkańskich, nic więc dziwnego, że Heterja cieszyła się dużem poparciem rządu rosyjskiego. Łącznikiem między Heterją i Aleksandrem byli bracia Ypsilanti, a szczególnie jego ulubieniec, Aleksander Ypsilanti, oficer armji rosyjskiej, uczestnik kampanji 1812 i 1813 r., generał-major i fligel-adjutant cesarski. Komitet wykonawczy Heterji, przeniesiony przez Skufasa w r. 1816 do Moskwy, został po jego śmierci (1816) zreorganizowany i składał się odtąd z ośmiu osób, z których jedna stale znajdowała się w Petersburgu, sieć zaś emisarjuszy Heterji ogarnęła cały półwysep bałkański. Emisarjusze ci utrzymywali ścisły kontakt z ambasadorem rosyjskim w Konstantynopolu, Strogonowem, z konsulami i licznymi agentami rosyjskimi, rozrzuconymi po całej Turcji, otrzymując od nich dyrektywy, a częstokroć i pomoc materjalną.

Wreszcie w marcu 1921 r. doszło do wybuchu pierwszej rewolucji greckiej. Yspilanti, ufny w poparcie Rosji, zwrócił się do niej z oficjalnem wezwaniem o pomoc. Tymczasem

w umyśle Aleksandra I zaszła już owa zmiana w kierunku reakcji; wiadomość o wybuchu powstania zastała go na kongresie w Lublanie, gdzie właśnie radził nad zwalczaniem „rozgałęzionej europejskiej konspiracji". Zaskoczony teraz wybuchem przygotowywanej przez siebie zawieruchy, wyrzekł się Greków i dał odprawę Ypsilantiemu, pozostawiając go jego losowi.

Teraz masonerja zachodnio-europejska nie mogła pozostawić swych greckich braci na pastwę losu. Piętnując zdradę cesarza Rosji rozpoczęła na rzecz Grecji gorączkową agitację, która ściągnęła do niej mnóstwo ochotników, a wreszcie sprowadziła interwencję mocarstw zachodnich.

Z utworzeniem niepodległej Grecji masonerja jest w niej organizacją dozwoloną, ale król Otto nieżyczliwie na nią spogląda, dlatego też zaczyna się rozwijać dopiero za rządów jego następcy, Jerzego. W r. 1868 powstaje Wielki Wschód grecki, w r. 1872 zaś zostaje utworzona Najwyższa Rada grecka, jednak większych przejawów działalności masonerji nie widać. Masonerja grecka nabiera znaczenia dopiero z chwilą wystąpienia Venizelosa, którego dziełem jest w pierwszym rzędzie wojna bałkańska, przynosząca Grecji ogromny nabytek terytorjalny. Następnie z chwilą, gdy Bułgarja, czując za sobą poparcie Austro-Węgier, zamierzyła przywłaszczyć sobie większą część zdobytych terytorjów, a nawet zaczęła rościć sobie prawa do portu w Kawalli, Venizelos staje się projektodawcą, a właściwie twórcą tajnego układu pomiędy Grecją, Rumunją, reprezentowaną przez br.: Majorescu i Serbją, reprezentowaną przez Pasicza, który to układ podpisano w lecie 1913 r. Na mocy tego traktatu Grecja, Serbja i Rumunja wystąpiły przeciw Bułgarji, bijąc ją na głowę i dyktując jej ciężkie warunki pokoju. Traktat ten był również przygotowaniem do wojny światowej, gdyż zawierał już klauzule wymierzone przeciw Austrji. Rumuński generał Coandra powiedział o nich w styczniu 1914 r.: „Rumunja już przedsięwzięła odpowiednie kroki, by do Węgier wprowadzić działa rumuńskie i serbskie i by włączyć do swych ziem, ziemię naszą już od stuleci".

Król Jerzy uległ Venizelosowi, ale po jego śmierci, nowy król Konstantyn, szwagier cesarza Wilhelma II, zanadto był związany z Niemcami, by iść śladami polityki Venizelosa. Masonerja starała się go usunąć kilkakrotnie np. w niespodzianym pożarze lasu Tatoi, skąd ledwie króla wyratowano.

Z wybuchem wojny światowej Venizelos nie zaniedbał niczego, by Grecję postawić w szeregach Sprzymierzonych. Za jego pośrednictwem Ententa ofiarowała Grecji najpierw turecką część Albanji, następnie część Azji Mniejszej, wreszcie nawet Cypr, lecz wszystkie te oferty Konstantyn odrzucał, oświadczając, iż chce zachować neutralność Grecji,

a wkońcu nawet dając dymisję Venizelesowi. Wobec tego doszło do zaburzeń, które spowodowały narzucenie Grecji angielskiej policji w 1916 r., a w r. 1917 komisarz angielsko-francuskiej floty br.'. Jonnart wystosował 11 czerwca ultimatum do prezydenta ministrów Znaimisa, żądając abdykacji króla Konstantyna pod groźbą zbombardowania Aten. Król ustąpił, dnia 28 czerwca zaś Venizelos objął dyktaturę Grecji, stając z nią po stronie Sprzymierzonych.

I za to, spóźnione wprawdzie, wystąpienie otrzymała Grecja nagrodę na kongresie pokojowym, kosztem Turcji i Bułgarji. Ale wzrastająca potęga Grecji była wszechświatowej masonerji niedogodną, ze względu choćby na jej zamiary co do Konstantynopola. Grecja została uwikłana zaraz w wojnę w Azji Mniejszej i w szereg spisków i rewolucyj, które ją doszczętnie osłabiły. Venizelos musiał szukać schronienia na wygnaniu, w kraju zaś zapanowała anarchja, dopóki do władzy nie doszedł venizelistyczny rząd pułkownika Metaxiasa, któremu już znowu przeciwstawia się tajny związek „Eleûterofrones" (Wolnomyślicieli).

Do Rumunji masonerja przedostała się w czasie wojny tureckiej 1877 r. i już w r. 1880 utworzono tam Narodową Wielką Lożę, a w r. 1881 Najwyższą Radę. Najwyższej Radzie podlegało przed wojną 16 lóż, prócz tego istniały w Rumunji dwie loże niemieckie „Zur Brüderlichkeit" i nosząca francuską nazwę loża „Le Travail", oraz loża „Romanja" zależna od W. Wschodu włoskiego.

Masonerja rumuńska, podobnie jak grecka i serbska, miała na celu wielkość Rumunji, zrealizowanie zaś swych zamiarów widziała w przymierzu ze Sprzymierzonymi. Do masonerji należeli między innymi: Take Jonescu, Cezar Jonescu, Bratianu i Costinescu, znani wszyscy ze swej ententofilskiej orjentacji.

O istnieniu masonerji w Bułgarji nic nie wiadomo, za to istnieją tam różne spiski komunistyczne oraz organizacje rewolucyjne macedońskie, wywołujące nieustannie rozruchy w wyniszczonym długoletnią wojną i klęską kraju.

Asper.

Adres Redakcji i Administracji „Myśli Narodowej": Al. Jerozolimska 17 tel. 11-90. Godziny przyjęć: codziennie od 4—5 prócz niedziel i świąt.

Rękopisów redakcja nie zwraca.

Pren. kwart. **3 zł.** Zagranicą kwart. **5 zł.**

Ceny ogłoszeń: 1 str. za tekstem **100 zł.** Konto cz. w P.K.O. №3105.

Skrzynka pocz. Nr. 150.

Redaktor i wydawca: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. „A. Michalski", sp. z ogr. odp. Warszawa, Chmielna 27. Tel. 27-15.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.